

Michał Gołębiowski: Czy to ja, choć przez moment? Egzystencjalizm Tomasza Beksińskiego i Pete'a Townshenda

Townshend i Beksiński to niewygodna życia i nieprzystawalność. Zwłaszcza nieprzystawalność do zasad wyznaczonych przez establishment, technokrację, konsumpcjonizm. Słowem: wszelkie udomowione formy materializmu, czyli największego wroga wolności – pisze Michał Gołębiowski dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Beksiński. Oblicza metafizyki”.

Zainteresowania muzyczne Tomasza Beksińskiego dają pełen przegląd sceny rockowej lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. W pewnym momencie życia jego osobowość najlepiej oddał jednak pseudonim Doctor Jimmy, inspirowany piosenką grupy The Who, *Doctor Jimmy and Mister Jim*.

Wszystko zaczęło się około 1972 roku. Już wtedy stało się oczywiste, że marzenia kontrkultury dzieci kwiatów muszą upaść. „Wspaniałe wszechogarniające uczucie, że cokolwiek robimy, jest dobre; że to my wygrywamy”, pisał Hunter S. Thompson, „a teraz, niecałe pięć lat później, gdyby wspiąć się na strome wzgórze w Las Vegas i spojrzeć na zachód, to – jeśli ktoś wie, jak patrzeć – może niemal zauważyć ślad w miejscu, w którym ta fala załamała się i cofnęła”. Na plaży w San Francisco pozostały śmieci, kamienie i skorupki. „Teenage wasteland”, jak mówi jedna z piosenek The Who. Ziemia jałowa młodych.

Któregoś dnia Pete Townshend spacerował brzegiem Tamizy, a w rytm szumu fal powracało do niego pytanie: „Why should I care if I have to cut my hair”. Dlaczego ma mi zależeć, skoro będę musiał ściąć włosy... W sensie: młodość i marzenie kontrkultury dobiegną końca. Już dobiegają. Zapał stygnie, wolność okazuje się w najlepszym razie mrzonką, a w najgorszym – samospaleniem. W imię czego można się jeszcze buntować, skoro trzeba wrócić do społeczeństwa, tego samego, od którego chciało się uciec. Długie włosy były bowiem symbolem sprzeciwu wobec tego, co usankcjonowane autorytetami. Wspomniana fraza stała się podstawą dla piosenki *Cut my hair*. Z niej wyłonił się szerszy koncept, i tak właśnie powstał album koncepcyjny *Quadrophenia*.

Kim jest Jimmy? Najprościej byłoby odpowiedzieć, że to chodząca sprzeczność. Młode ludzkie istnienie rozpostarte pomiędzy pogardą do rzeczywistości a potrzebą czulej troski. Stąd przyływy frustracji i agresji, niemalże punkowe (subkultura modsów zapowiadała rodzący się ruch „ulicznych szcurów” i „śmieci”); stąd bluzgi pod adresem społeczeństwa, rzeczywistości, a wreszcie samego istnienia przeplatane delikatnym, płynącym z głębi serca pytaniem: „why should I care”. Dlaczego mam się troszczyć? O coś w końcu trzeba. Odpowiedź wydaje się oczywista: o miłość. Tę prawdziwą, absolutną, ostateczną. Bezgraniczną jak ocean, który na końcu *Quadrophenii* pochłania życie Jimmiego. Miłość i odpowiedzialność – te dwa, budzące skojarzenia z wojtyliańskim personalizmem, pojęcia wyznaczają granice wewnętrznego konfliktu, z którym boryka się Jimmy.

Znamienny jest już sam tytuł albumu: *Quadrophenia*. To nie dwubiegunówka, która szarpie człowiekiem między dwiema skrajnościami. Nie jest to nawet schizofrenia. To kwadrofenia, rozszczepienie osobowości na cztery stany i cztery namiętności. A więc Jimmi to kwadrofenik, czyli człowiek, którego, jak mówił Beksiński, cztery różne podstawowe problemy ciągną w różnych kierunkach. *Quadrophenia* to oczywiście również kwadrofonia, czyli elektroakustyczny system wielokanałowej transmisji dźwięku. Czyli rozdwojenie, a raczej roz-czwornienie, to coś, co dla społeczeństwa oznacza upadek, lecz dla autentycznego „ja” jest sztuką, współdziałaniem różnych melodii i dźwięków.

Egzystencja Jimmiego to stale powracająca para rymów: „me” oraz „sea”, „ja” i „morze”. Kim jestem – to najważniejsze pytanie. A najśmielsze wyzwanie rzucone światu: „Can you see the real me”. Czy możesz zobaczyć prawdziwego mnie? Zobaczyć i się nie zgorszyć? Jimmy i Beksiński to przecież osobowości niestałe jak morze. Ale też w rozdwojeniu pomiędzy buntem a odpowiedzialnością zadające sobie wciąż to samo pytanie: „Is it me for the moment”? Czy to ja, choć przez moment. W innym momencie słowa te padają w nieco zmieniony wariacie: „Is it me for the moment the stars are falling”. Czy to ja przez ten moment, gdy gwiazdy spadają... Cały kosmos rezonuje z tym jednym pytaniem: kim jestem ja? Na końcu *Quadrophenii* okazuje się, oczywiście, że powiedzieć: „ja”, to mówić: „miłość”. Wszyscy są z niej i do niej wracają. Stąd niepokój ludzkiego serca, jego rozdarcie i nieustanne sprzeczności.

W literackim wstępie do *Quadrophenii*, wydrukowanym na pierwszej wewnętrznej stronie rozkładanej okładki winyla, Townshend włożył w usta Jimmiego, kontrkulturowego dziecięcia wieku, takie oto wyznanie:

Jest we mnie coś, co gardzi ludźmi. Nikim konkretnym. Gardzę tym, jak bezużyteczni i głupi potrafią być ludzie. Siedzą i zalewają mordy, a świat wokół schodzi na psy. Wojny i spory. Ludzie umierają z głodu. Starzy odchodzą, zostawiając dzieci, którzy mają już swoje dzieci, a nikt z nich nie ma na nic czasu. Im dłużej się nad tym zastanawiam, mam ochotę coś zdemolować. Psychiatra mówi mi, że jestem świrem. A nawet jeszcze nie widział, jak potrafię się wściec.

Wrażliwość budząca frustrację. Czułość, która wzmagą agresję. Oto paradoksy Doktora Jimmiego, także tego polskiego. Wyznanie Beksińskiego brzmi bardzo podobnie do tego, jak wyrażał swoje miejsce w społeczeństwie bohater dzieła Townshenda. Tak pisał na łamach magazynu *Tylko Rock*:

Zaczynasz się czuć jak pod lupą. Dookoła czai się krwiożercze stado życzliwych osób. Poznawszy twoją wybrankę, rodzina radośnie gdacze, że „nareszcie się ustabilizujesz”. Analizujesz znaczenie tych słów i dochodzisz do wniosku, że chcą z ciebie zrobić taką jak oni kołtuńską glistę z maszynki do mięsa w *The Wall*. Wiedzą lepiej, czego ci potrzeba do szczęścia. Zaś najbliższa osoba zaczyna ci wytykać, że twój świat to fikcja i że trzeba dołączyć do stada zachłystującego się pełnią życia przy kieliszku w zadymionym pubie.

W audycji z cyklu *Trójki pod księżycem* w dniu 26 listopada 1995 roku Beksiński wspomniał, że Jimmi „stał się dla niego wzorem, kiedy był licealistą”. Trudno się temu dziwić. Jimmy to przecież archetyp jednostki zbuntowanej przeciwko społeczeństwu w imię totalnej miłości, która jako jedyna zbawia i przemienia. *Love reign o'er me*, to ostatnia piosenka *Quadrophenii*. Szum wody w tle sygnalizują kolejną grę słów: miłość włada nade mną, miłość na mnie pada, jak deszcz. Dopiero kiedy ona mnie pochłonie, odnajdę siebie. W niej, zapominając o „ja”, staję się „ja” w pełni.

Townshend i Beksiński to niewygodna życia i nieprzystawalność. Zwłaszcza nieprzystawalność do zasad wyznaczonych przez establishment, technokrację, konsumpcjonizm. Słowem: wszelkie udomowione formy materializmu, czyli największego wroga wolności. A przy tym wszystkim – co ważne – obaj nie popadali w nihilizm, nawet w najczarniejszych miejscach swojej egzystencji. Przeciwnie, wytrwale głosili *apeiron*, bezkres, którym jest miłość, nie ta skończona, lecz absolutna i bez „rozsądnych granic”.

Dr Michał Gołębiowski

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

